

Hans Christian Andersen

Niegodna kobieta

Burmistrz stał przy otwartym oknie; miał na sobie koszulę z koronkowymi mankietami, szpilkę wpiętą do żabotu, był niezwykle starannie ogolony, sam się zawsze golił, zaciął się wprawdzie trochę, ale przykleił w tym miejscu skrawek gazety.

- Słuchaj no, mały! - zawołał.

A ten mały to był syn praczki; właśnie tamtędy przechodził i z szacunkiem zdjął czapkę; daszek czapki był złamany tak specjalnie, że można ją było schować do kieszeni. W ubogim, ale czystym i niezwykle porządnie wyłatanym ubraniu, w ciężkich, drewnianych buciskach stał przed burmistrzem, pełen szacunku, jak przed samym królem.

- Jesteś dobrym chłopcem - powiedział burmistrz - jesteś grzecznym chłopcem. Twoja matka pierze bieliznę w strumieniu, a ty zanosisz jej to, co masz tam w kieszeni. Trudna sprawa z twoją matką. Ile tam tego masz?

- Pół miarki - odpowiedział chłopiec przerażonym i cichym głosem.

- A dzisiaj rano zaniosteś jej również tyle? - pytał dalej.

- Nie, to wczoraj - odpowiedział chłopiec.

- Dwie pół miarki tworzą całą miarkę. To niegodna kobieta! Niełatwe są stosunki z ludźmi tego pokroju. Powiedz twojej matce, niech się wstydzi! Ty przynajmniej nie bądź pijakiem, ale na pewno też nim zostaniesz. Biedne dziecko! No, idź już sobie.

I chłopiec poszedł. Czapkę trzymał w ręku, wiatr powiewał jego jasnymi włosami, które długimi pasmami podnosiły się do góry. Skręcił na rogu w małą uliczkę prowadzącą do strumyka, gdzie jego matka stała na desce nad wodą i z wysiłkiem tłukła bieliznę kijanką. Woda rwała mocno, gdyż otworzono śluzę młyna, prąd porwał prześcieradło i o mało co nie uniósł kładki, na której stała praczka; musiała opierać się mocno, żeby nie spaść.

- O mało co nie zabrała mnie woda - powiedziała. - Dobrze, że jesteś, muszę podtrzymać swe siły. Tak tu zimno w wodzie, stoję tu już sześć godzin. Masz co dla mnie? - Chłopiec wyjął butelkę; matka przyłożyła ją do ust i pociągnęła jeden łyk.

- O, jakie to dobre! Jak grzeje. To jest to samo co ciepła strawa, a kosztuje taniej. Pij, mój chłopcze! Jesteś taki błydy, marzniesz w lekkim ubraniu. Przecież już jesień. Brr, jaka zimna woda! Byle nie zachorować! Ale nie zachoruję! Daj mi jeszcze łyk i ty także wypij, ale tylko kropelkę, nie powinienes się przyzwyczajać, moje biedne, wynędzniałe dziecko.

Skierowała się za groblę, gdzie stał chłopiec, i stanęła na suchej ziemi; woda spływała ze słomianej maty, którą była przewiązana w pasie, woda spływała z jej spódnicy!

- Haruję i męczę się, aż mi krew prawie wytryska spod paznokci.

Ale to wszystko jedno, obym tylko mogła cię uczciwie wykierować na ludzi, moje drogie dziecko!

W tej samej chwili ukazała się trochę starsza kobieta, ubogo ubrana, kulą na jedną nogę, a nad jednym jej okiem zwieszał się wielki, przyprawiony pukiel włosów, który miał zasłonić bielmo, ale tylko zwracał na nie uwagę.

Była to przyjaciółka praczki, "kulawa Maren z kosmykiem", jak ją nazywały sąsiadki.

- Biedna, jak harujesz i męczysz się stojąc w zimnej wodzie! Naprawdę trzeba ci rozgrzewki, a złe języki obgadują cię przez parę kropelek! - i powtórzyła praczce wszystko, co mówił burmistrz do chłopca. Maren słyszała jego słowa i gniewała ją, że nagadał tak dziecku o własnej matce, i to z powodu tych paru kropel, podczas gdy sam wydawał wielki obiad z winem, które pito butelkami.

- Wyborne wina, mocne wina! I trochę więcej, niż trzeba, by ugasić pragnienie. Ale tego nie nazywa się pijaństwem. To są godni ludzie, a ty jesteś niegodna.

- Tak do ciebie mówił, dziecko? - spytała matka i jej wargi zadrżały lekko. - Masz niegodną matkę. Może ma rację. Ale dziecku nie powinien być tego mówić. Tak, w tym domu już niejedno mnie spotkało.

- Służyłaś przecież u nich, kiedy rodzice burmistrza jeszcze żyli i mieszkali w tym domu; to już wiele lat temu. Od tego czasu zjedzono już wiele garnców soli, można po nich mieć pragnienie. - Maren zaśmiała się. - Dziś burmistrz wydaje wielki obiad, miano go wprawdzie odwołać, ale już było za późno, jedzenie już przygotowane. Słyszałam to od stajennego chłopca. Przed godziną przyszedł list, że młodszy brat burmistrza umarł w Kopenhadze.

- Umarł! - zawołała praczka i zbladła jak trup.

- Cóż to? Bierzesz to tak bardzo do serca? - zapytała kobieta. - Aha, znałaś go przecież z czasów, gdy u nich służyłaś.

- Umarł! Był to najlepszy, najszlachetniejszy człowiek. Bóg nie ma wielu takich jak on u siebie. - I łzy spłynęły po jej policzkach. - Mój Boże, wszystko mi się kręci przed oczyma, to dlatego, że wypiałam całą butelkę. To mi szkodzi. Tak mi niedobrze! - i chwyciła się mocno za deskę.

- Mój Boże, źle z tobą, kobieto! - powiedziała Maren. - Opanuj się, to przejdzie; nie! jesteś, zdaje się, naprawdę chora. Najlepiej będzie, jeśli cię odprowadzę do domu.

- A bielizna?

- Zajmę się tym. Chodź, daj mi ramię; chłopiec może tu zostać i uważać, aż ja wrócę i dokończę prania; już niewiele zostało.

Praczka ledwie trzymała się na nogach.

- Za długo stałam w zimnej wodzie; od rana nic nie jadłam i nic nie piłam. Mam gorączkę! Ach, Boże pomóż mi wrócić do domu. Moje biedne dziecko! - I płakała.

Chłopiec też płakał siedząc sam nad brzegiem wody nad mokrą bielizną. Obie kobiety szły bardzo powoli, praczka zachwiała się na rogu, szły ulicą obok domu burmistrza i właśnie w tym miejscu praczka upadła na bruk. Nadbiegli ludzie.

Kulawa Maren wbiegła do domu burmistrza wezwać pomocy. Burmistrz i jego goście wyjrżeli przez okna.

- To praczka - powiedział - wypła trochę za dużo; to niegodna kobieta! Żal mi tego ładnego chłopca, jej syna. Bardzo go naprawdę lubię, ale matkę ma niegodną!

Kobietę ocucono i zaprowadzono do jej ubogiego mieszkanka, gdzie się położyła do łóżka. Dobra Maren zagotowała dzbanek gorącego piwa z masłem i z cukrem, uważała to za najlepsze lekarstwo: potem poszła nad wodę, wypłukała bieliznę, ale pomimo dobrych chęci robiła to bardzo źle. Wreszcie wyciągnęła na brzeg tylko zamoczoną bieliznę i włożyła do kosza.

Pod wieczór Maren czuwała w ubogiej izdebce przy chorej praczce. Przyniosła jej kilka smażonych kartofli i ładny, tłusty kawałek szynki, dostała to dla niej od kucharki burmistrza. Maren i chłopiec posilili się, a chora zadowolona się zapachem; mówiła, że to także syci.

Chłopiec położył się do łóżka, do tego samego, w którym leżała matka, tylko że miał tam miejsce w poprzek, w jej nogach, i przykrył się starym dywanikiem uszytym z czerwonych i niebieskich skrawków.

Praczce zrobiło się trochę lepiej, wzmocniło ją gorące piwo i dobrze jej zrobił zapach delikatnego jedzenia.

- Dziękuję ci, dobra duszo - powiedziała do Maren - kiedy chłopiec usnie, wszystko ci opowiem. Wydaje mi się, że już nawet śpi. Jakże ładnie i mile wygląda z zamkniętymi oczami! Nie wie, wcale, ile przecierpiała jego matka, daj Boże, aby nigdy nic podobnego nie doświadczył! Służyłam u radców nadwornych, rodziców burmistrza; zdarzyło się, że najmłodszy z synów, student, wrócił do domu; byłam wtedy młoda, płoża, szalona, ale uczciwa, mogę to wyznać przed obliczem Boga - powiedziała praczka. - Student był taki wesoły, pogodny i dobry, każda kropla jego krwi była dobra i sprawiedliwa, nie było na świecie lepszego człowieka. Był paniczem, a ja tylko służącą, ale pokochaliśmy się czystą miłością. Pocałunek nie jest przecież grzechem, kiedy się czuje prawdziwą miłość; powiedział o tym swojej matce; była dla niego Bogiem na ziemi; taka mądra, pełna miłości i dobroci. Wyjechał i włożył mi na palec swój złoty pierścionek. A kiedy odjechał, zawołała mnie moja pani do siebie: była poważna, ale bardzo łagodna, mówiła do mnie jak sam Pan Bóg; wytłumaczyła mi jasno, jaka nas dzieli przepaść pod względem pochodzenia i wykształcenia. "Teraz on widzi twą urodę - mówiła - ale wygląd zewnętrzny szybko przemija. Nie jesteś tak wykształcona jak on, nie jesteście sobie równi duchowymi zaletami i tu właśnie tkwi nieszczęście. Poważam biednych - powiedziała - biedny może

otrzymać w niebie wyższe miejsce niż niejeden bogacz, ale tutaj na ziemi nie trzeba przestawiać wozu na niewłaściwy tor, gdy się jedzie w drogę, gdyż wóz się przewróci i oboje wypadniecie. Wiem, że prosił o twoją rękę dzielny człowiek, rzemieślnik, Eryk rękawicznik, jest on wdowcem, nie ma dzieci i dobrze mu się powodzi; zastanów się nad tym." - Każde słowo, które powiedziała, przeszywało mi serce jak nożem, ale ta kobieta miała rację i to właśnie mnie dobijało. Pocałowałam ją w rękę i płakałam gorzkimi łzami, a kiedy wróciłam do swojej komórki i rzuciłam się na łóżko, było mi jeszcze gorzej. Ciężka to była noc, która nadeszła potem. Bóg wie, ile wycierpiałam i namęczyłam się. W niedzielę przystąpiłam do Pańskiego stołu, aby Pan mnie oświecił. Było to jak gdyby przeznaczenie; wychodząc z kościoła spotkałam Eryka rękawicznika. W duszy mojej, nie było już wątpliwości; odpowiadaliśmy sobie sferą i stanowiskiem w świecie, był to poza tym zamożny człowiek. Podeszłam do niego, wzięłam go za rękę i spytałam: "Czy myślisz jeszcze wciąż o mnie?" - "Zawsze i wiecznie", odpowiedział. - "Czy chcesz wziąć dziewczynę, która cię poważa i szanuje, ale cię nie kocha, a przecież to może przyjść z czasem." - "Tak, to może przyjść z czasem", powiedział i podaliśmy sobie rękę.

Wróciłam do domu, do mojej pani; złoty pierścionek, który dostałam od jej syna, nosiłam na piersi, gdyż w dzień nie mogłam go nosić na palcu, ale wieczorem, kiedy kładłam się spać, wkładałam go zawsze. Pocałowałam pierścionek tak, że aż mi pokrwawił wargi, a potem oddałam go mojej pani i powiedziałam, że na przyszłą niedzielę odbędą się moje zapowiedzi z rękawicznikiem. Wtenczas pani wzięła mnie w ramiona i uściskała; i nie mówiła, że jestem niegodna, może byłam wtedy lepsza, chociaż nie wypróbowałam tylu przeciwności życiowych. W święto Oczyszczenia odbył się nasz ślub. Pierwszego roku wszystko szło dobrze, trzymaliśmy jednego czeladnika i jednego ucznia i ty u nas służyłaś, Maren.

- Ach, byłaś dobrą gospodynią - powiedziała Maren. - Nigdy nie zapomnę, jacy byliście dla mnie dobrzy, ty i twój mąż.

- Tak, dobre to były lata, kiedy u nas byłaś. Dzieci nie mieliśmy jeszcze wtedy. Studenta nie zobaczyłam już nigdy. Raz go wprawdzie widziałam, ale on mnie nie widział. Przyjechał na pogrzeb swojej matki. Widziałam, jak stał nad grobem, był taki biedny i taki smutny, ale to dlatego że stracił matkę. Kiedy później umarł jego ojciec, był w obcych krajach i nie przyjechał na pogrzeb. Nigdy od tej pory tu nie był! Nie ożenił się, podobno został prokuratorem; o mnie zapomniał, a gdyby nawet mnie zobaczył, nie poznałby, wyglądam tak okropnie. Szczęście, że mnie nie widział.

Potem opowiedziała o ciężkich dniach próby, o nieszczęściach, które zaraz potem na nią spadły. Mieli pięćset talarów, a na ulicy znajdował się dom za dwieście talarów, opłacało się zburzyć ten dom, wybudować nowy, wobec czego dom kupiono. Murarze i cieśle obliczyli, że to ma kosztować tysiąc dwieście talarów. Eryk rękawicznik miał kredyt, pożyczył pieniądze w Kopenhadze, ale marynarz, który wiozł te pieniądze, rozbił się wraz z okrętem i pieniądze poszły na dno.

- W tym czasie urodziłam mego kochanego chłopca, który tu śpi. Ojciec dziecka obłożnie zachorował i przez trzy kwartały musiałam go ubierać i rozbierać. Było z nami bardzo źle, pożyczaliśmy i pożyczaliśmy, cały nasz majątek przepadł. Mąż umarł. Pracowałam i harowałam. Cierpiałam dla mego dziecka, szorowałam schody, prałam bieliznę zwyczajną i wykwinną, nie sądzone mi było dożyć lepszych czasów. Pan Bóg tego nie chce, ale zbawi mnie i zaopiekuje się moim synem.

I potem zasnęła.

Nad ranem wzmocniona snem, pomyślała, że jest dość silna, by wrócić do pracy. Zaledwie weszła do zimnej wody poczuła dreszcze i zemdląca; kurczowo wyciągnęła przed siebie rękę, zrobiła jeden krok i upadła. Głowa leżała na suchej ziemi, ale nogi były w wodzie, jej drewniane sandały, w których stała na kładce, wypchane słomą, porwał prąd. Tak zastała ją Maren, kiedy przyszła do niej z kawą.

Tymczasem burmistrz posłał po nią do domu, by natychmiast do niego przyszła, gdyż ma jej coś powiedzieć. Ale było za późno. Wezwano felczera, aby jej upuścił krwi. Ale praczka była martwa.

- Zapłała się na śmierć - powiedział burmistrz.

W liście donoszącym o śmierci brata podana była treść testamentu, jaki zostawił; było tam napisane, że wdowa po rękawiczniku, która służyła niegdyś u jego rodziców, ma po jego śmierci otrzymać sześćset talarów. Pieniądze te według najlepszego uznania mają zostać wypłacone w większych i mniejszych sumach jej i jej dziecku.

- Było tam coś między nią a moim bratem - powiedział burmistrz - to szczęście, że zeszła mu z drogi; chłopiec dostanie teraz całą sumę, a ja umieszczę go u porządnych ludzi, będzie z niego dobry rzemieślnik.

Bóg pobłogosławił tym słowom.

Burmistrz wezwał do siebie chłopca, obiecał mu, że się nim zajmie, i powiedział:

- Jak to dobrze, że twoja matka umarła, gdyż była to niegodna kobieta!

Zaniesiono ją na cmentarz, na cmentarz dla ubogich. Maren zasadziła mały różany krzew na grobie, chłopiec stał obok.

- Moja droga mama! - powiedział i łzy spływały mu po policzkach. - Czy to prawda, że była niegodna?

- Była to bardzo godna kobieta - powiedziała stara Maren i spojrzała w niebo. - Wiem to od wielu lat i od wczorajszego wieczora. Mówię ci, była bardzo godna. I Bóg w królestwie niebieskim mówi to samo. A tu na ziemi niechże sobie mówią, że była niegodna!